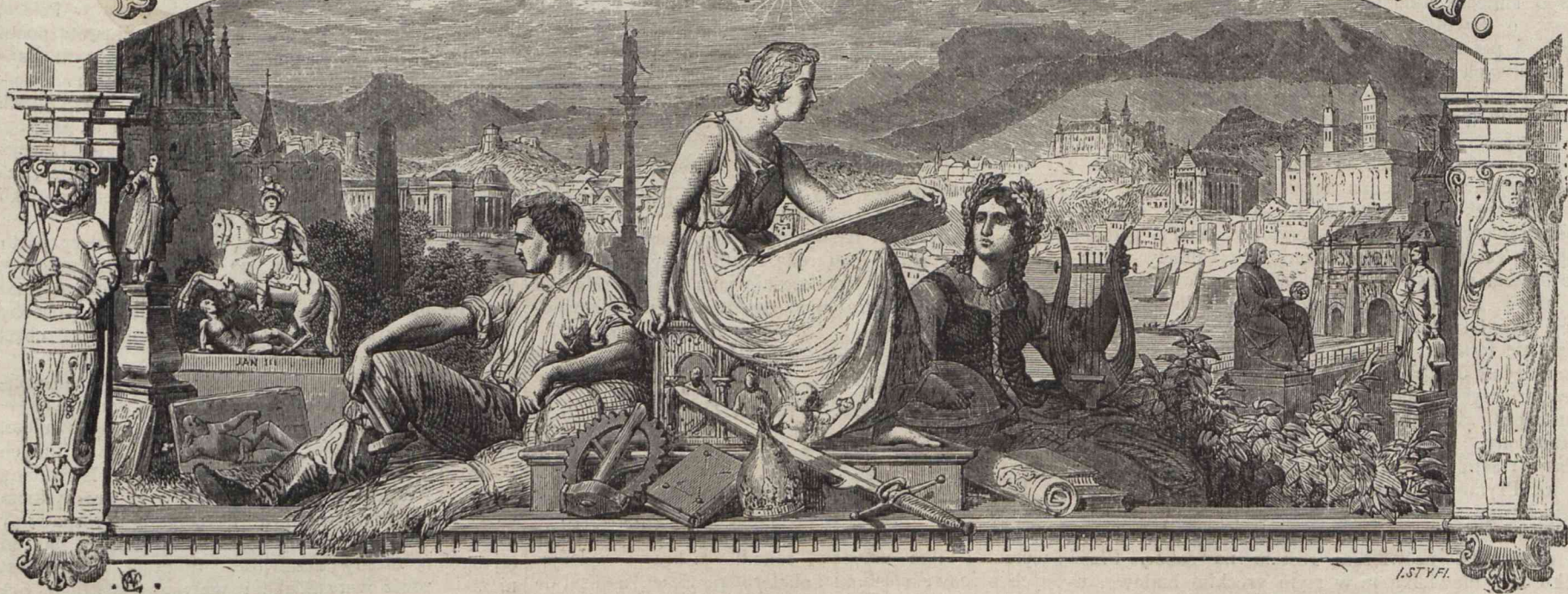


# TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N<sup>o</sup> 213.

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 24 października 1863 r.

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU. — Góra Ochrymowa w Żytomierzu (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Pomywaczka, obrazek z końca XVIII wieku, (dalszy ciąg) (z drzeworytem). — Kościół św. Rafała i figura Zbawiciela na Śnipiszkach (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus.



GÓRA OCHRYMOWA W ŻYTOMIÉRZU. (Podług rysunku pani P.)

## GÓRA OCHRYMOWA

w Żytomierzu.

Zwracając się do świątyni pańskich obu wyznań w Żytomierzu, dziwić się przychodzi, że wszystkie jakie dziś mamy, powstały zaledwo w początku przeszłego stulecia, albo wzrosły za naszej dopiero pamięci; o dawniejszych zaś lustracy nie wspominają wcale i pozostały o nich niedokładne tylko ślady w archiwach konsystorskich, lub nawet tylko w tradycji ustnej. Niepodobna jednak przypuścić, żeby do roku 1700 (pod którym znajdujemy erekcją najdawniejszej cerkwi greckiej na skale zwaną podolską) Żytomierz nie miał żadnej świątyni Pańskiej.

Do najstarszych podań kościelnych należy tradycja, że św. Jacek w podróży do Kijowa założył w Żytomierzu misyję i fundował kościółek, który podczas napadu Tatarów został zburzony, a zakonnicy w liczbie sześciu ponieśli śmierć męczeńską. Powiadano mi o stariej księżce do nabożeństwa, gdzie w litanii mają być wspomnieni ci męczennicy. Z tą tradycją łączy się inna, a mianowicie: że sadyba na misyję i seminaryum unickie zakupioną była od ks. dominikanów, którzy przedtem mieli klasztor, a po zniszczeniu onego, zachowali prawo do miejsca gdzie był wzniesiony. Cobądź, wiemy że w r. 1776 założenie misyji i seminaryum unickiego zostało zdecydowane i że ks. Prymowicz, oficyał kijowski, na ten cel 200,000 złotych zapisał, w skutek czego zajęto się niezwłocznie położeniem fundamentów cerkwi i takowa dopiero w r. 1796 poświęconą została na sobór. Przed kilku laty niewielką tę w stylu greckim budowę umysłono rozszerzyć, lecz nowo wznoszony gmach runął i dotąd zostaje w zwaliskach. Gdyby jednak dało się stwierdzić, że sadyba ta nabyta została od dominikanów, mielibyśmy przypuszczalne miejsce, na którym dokonano się męczeństwo pierwszych misyjonarzy św. Jacka.

Z urzędowego podania, powołującego się na akta luko-żytomierskiego rzymsko-katolickiego konsystorza, w agitującej się dotąd sprawie między konsystorzem i miastem, widzimy, że na górze Ochrymową zwaną, położoną nad Kamionką, miał być kościół pod wezwaniem św. Mikołaja, który jeszcze w r. 1472 (a zatem w rok po zmianieniu księstwa kijowskiego na województwo litewskie) istniał, a później dopiero (może w r. 1648 za Chmielnickiego) przez Kozaków zburzonym został. Dalej w téjże konsystorskiej relacji czytamy, że do wspomnianego kościoła św. Mikołaja, należało więcej niż morg miejskiego gruntu, jakoteż wieś Popówka i inne.

Potwierdzenie téj relacji mamy w tém, że na górze Ochrymowej zostały dotąd ślady cmentarza katolickiego, na którym dopiero w 1779 r. przestano grzebać umarłych, a liczba mogił świadczy o obszerności parafii. Jeszcze przed laty dwudziestu czerniał na nim ostatni pomnik ceglany, nim runął, jak inne.

Drugim potwierdzeniem powyższego podania jest jeszcze to, że w r. 1784 kommissyja *Bon Ordinis*, na prośbę kapitały kijowskiej, nadała duchowieństwu katolickiemu sadybę, z obszarem pewnym gruntu, i poniżej nieco miejsca na którym stać miał kościół dawniejszy, wzniesiono niewielką murowaną kaplicę, także pod wezwaniem św. Mikołaja. W katakumbach téj kaplicy, dziś pustej, spoczywały jeszcze przed laty dwudziestu ciała zmarłych, zanim przeniesione zostały ze czcią religijną na nowy cmentarz katolicki, za miastem założony w r. 1799.

Staje mi w téj chwili przed oczyma widziany w tych katakumbach, w trumnie ze zdjętym wiekiem, szkielet zakonnicy, osypany prochem resztek ciała. Tylko jedna z rąk złożonych na krzyż świeciła jakby owinięta w pergamin, a pasek skórzany, stężyła od wilgoci mogilnej, stał nieporuszony, jakby znacząc w powietrzu objętość znikłej kibici oblubienicy Chrystusowej.

Z tychże źródeł konsystorskich dowiadujemy się, że na miejscu dzisiejszej katedry znajdował się kościół katolicki, pod wezwaniem N. Maryi Panny. Daty założenia jego i zniszczenia nie mamy znowu; czytamy tylko, że należała do niego wieś Jwanowice. Stać on jednak musiał na miejscu dzisiejszej katedry, bo w ogrodzie i na dziedzińcu kościelnym trafiano niejednokrotnie na groby, któremi zwykle otaczano dawniej kościoły. Dalej, w rzadkiej dość księżce pod tytułem: *Defensa biskupstwa i dyecezyi kijowskiej*, przez ks. Karola Nepomucena Orłowskiego, w r. 1748 wydanej we Lwowie, znajdujemy ślad wyjęty z metryk koronnych, (bez zanotowania daty), że „starosta żytomierski obowiązany był dawać księdzu żytomierskiemu szubę falendyszową grzbietami podszytą i kadź miodu.“ Niemiżej w Okolskim, pod herbem Leliwa, czytamy, że Janusz Tyszkiewicz, wojewoda kijowski,

starosta żytomierski, (około 1640) kościół żytomierski odbudował i opatrzył. Jednak wspomniony wyżej kompilator duchowny, ks. Orłowski, dodaje w swoich *Defensach*, że podczas wizytacyi, odbytej zapewne na kilka lat przed wydaniem książki, to jest przed r. 1748, miejsce gdzie stał kościół zupełnie opustoszało, i tak się o tém wyraża: *Sed tempore visitationis, locus vacans erat, ubi olim ecclesia existit.* Zresztą ks. Samuel Ożga, biskup kijowski i czernichowski, fundując w r. 1725 dzisiejszą katedrę, wyraźnie powiada, że przystępuje do téj fundacyi, z powodu że dyecezya pozbawioną jest *główniej świątyni*. Brakło więc tylko głównej świątyni, ale kościół parafialny oczywiście być musiał.

Notując tych kilka podań kościelnych, z powodu szkicu Ochrymowej góry, dokonanego przez utalentowaną naszą amatorkę, sądzimy że który ze świątynnych kapłanów dyecezyi naszej niezaniedba sprostować je i uzupełnić, mając pod ręką źródła mniej dla mnie dostępne. Może téż jednocześnie jaka dusza pobożna zaopiekuje się opuszczonym cmentarzem na Ochrymowej górze.

Jan Prusinowski.

## Kronika tygodniowa.

Pamiętamy że redakcyą Tygodnika spotkał raz dziwny i niespodziewany zarzut.

Autor któremu z umieszczonej pracy trzeba było wyrzucić kilka ustępów, zanadto jaskrawo opisujących sercowe stosunki bohatera powieści, napisał do redakcyi list, zarzucając jej że jest zbyt moralną i że należy dziełu zostawić całkowitą i nietkniętą jego barwę. Opierał się w twierdzeniu swoim na przykładzie autorów francuzkich, którzy daleko śmielszemi i wyrazistszemi rysami kręśli nieraz uczucie i namietność.

Owóż ta kwestya co do moralności lub niemoralności dzieł, które samą już formą swoją zdają się być przeznaczone do większego rozpowszechnienia, mianowicie powieści, zasługuje na to, ażeby o niej kilka słów powiedzieć.

Przedewszystkiemi zaznaczyć wypada, że wyobrażenia o niemoralności jeszcze niedosyć są u nas rozjaśnione. Weźmiemy przykład z francuzkich pisarzy, najwięcej z zagranicznych czytanych u nas, a czynimy to dlatego, że nasze piśmiennictwo bardzo mało jeszcze, dzięki Bogu, obfituje w podobnego rodzaju utwory. Idzie tylko o to, żeby one się nie zagnieździły niewczesnie u nas, jak to z kilku świeżych nawet pokuszeń sądzićby można, i dlatego to wyłącznie podejmujemy tę kwestyę.

Są matki, które za nic w świecie nie dałyby do czytania córkom żadnego romansu Paul de Kocka, a nie mają się przeciwko temu, gdy panna pokatnie dorwie się Balzaka, albo nawet Teydeau.

Otóż dwaj ostatnio wymienieni autorowie daleko niebezpieczniejsi są wrażeniem jakie czynią i wpływem jaki zyskują na niedoświadczonych jeszcze umysłach, aniżeli cały Paul de Kock, chociażby przez Ducang'a nawet pomnożony.

To łatwe do pojęcia.

Nie ten jest niemoralnym pisarzem, kto dla śmiechu niebywałe wymyśla położenia i nazywa rzeczy po imieniu, nie ten nawet co prawem geniuszu odważa się dotknąć każdego by najdrażliwszego przedmiotu i jak Wiktor Hugo w *Nędzarzach*, nie przestając na wspomnieniu owego wyrazu tak wielką rolę w bitwie pod Waterloo grającego, ani na całym ustępie opisującym podziemne ścieki paryżkie, wystawia ów przecudny typ starego mieszczanina francuzkiego, typ który, bliżej mu się przypatrując, chropawo niemoralny z powierzchni, najmniejszej jednak złej lub nagannęj myśli nie szczepi w czytającym.

Dla nas ten pisarz jest najniebezpieczniejszym, co używa wielkiego talentu, przekonywającej wymowy i błyskotliwego stylu, na usprawiedliwienie występku i zepsucia; co każe kochać jedno i drugie i cały powab życia w nich przedstawia. Niby to gani, a zachęca, niby to potępia, a wabi.

Tacy pisarze to mają zwyczaj do siebie, że u nich cnota i prawość, jakkolwiek z najlepszej przedstawione strony, są nudne i niezachęcające, często śmieśne, a zato wszelkie błyskotliwe, ujemne strony społeczne, owa cudnie wybrukowana droga do piekieł, posiadają dziwny powab i pociąg, jakby pisarz w nich się jedynie lubował i najświetniejszemi barwami talentu swego je przyozdabiał.

Dwa te rodzaje autorów możnaby rozgatunkować, na wyznawców swobody wyrazów i wyznawców nierządu myśli.

Owóż sądzimy że piśmiennictwo wypływające z krwi

i kości narodu, powinno przedewszystkiemi przeczuci ducha narodowego i umieć go uszanować.

Rozpatrzywszy się w pisarzach co w szeregu wieków (nie mówimy tu wyłącznie o czasach Augustowskich) poprzedzili epokę do której należymy, przekonujemy się że pierwszego rodzaju autorów nie brakło nigdy u nas. Beranger, z najbardziej rażącemi zuchwałstwami, nie byłby wynarodowiony w Polsce; ale nie mamy ani jednego Alfreda de Musset; poeta któryby się u nas urodził z talentem równym Bajronowi, nie byłby może tu napisał Don Juana i pomimo zasłużonego rozgłosu tych dwóch znakomych autorów, składowy dzięki Opatrzności za to.

I czémże się dzieje, że pomimo tak jaskrawego przedstawienia Telimeny, pan Tadeusz Mickiewicza może być czytany bez żadnych zastrzeżeń, nietylko przez każdego, ale i przez każdą?

Oto dlatego, że Mickiewicz, jako prawdziwy poeta narodowy, ślizgając się po powierzchni zepsucia, wskazuje nam je jako ohydne, i że w żadnym razie czytanie pana Tadeusza nie może wzbudzić, choćby w najbardziej egzaltowanym umyśle kobiecym, chęci do naśladowania Telimeny.

My jako naród jesteśmy rzeczywiście społeczeństwem moralnym. Niech tam piorunują sobie na społeczeństwo warszawskie, ja nigdy tego nie czyniłem, bo przekonany jestem, że w porównaniu do innych wielkich miast: Wiednia, Berlina, Paryża, Medyolanu i t. d., Warszawa jest jeszcze prawym przybytkiem cnoty i dobrych obyczajów. I rzeczywiście rozpatrzmy się tylko pomiędzy sobą; każdy wyjątek u nas od téj ogólnej zasady uczciwości w życiu, znany jest niemal przez wszystkich i wytykany palcami, bez względu w jakim położeniu społecznym los go umieścił, i potępienie nie daje czekać na siebie. To co gdzieindziej byłoby uważane za rzecz zwyczajną, u nas zwraca bacność całego miasta (mówimy dotychczas o Warszawie tylko, jako o stolicy) i ściąga na siebie oburzenie. Zepsucie we właściwym znaczeniu tego wyrazu, znajduje tu pod sobą zbyt płytki grunt do krzewienia się. Więc jeżeli tu i owdzie okaże się jaka dama kameliowa, wyniosłszy głowę ponad błoto uliczne, nie mamy za to ani Aspazyi, ani Laidy, ani Marion Delorme, ani Safony zwłaszcza. Zaginęła powoli rasa wszystkich Pompadurek i Parabesek, co zdobyły (!!) wiek zeszyły i nawet początki bieżącego. Nasze Pompadurki i Parabeski, jeżeli istnieją jeszcze jakie, pojechały popróbować szczęścia za granicą, widzą bowiem niezawodnie, że tutaj zbyt krótki czas ich panowania przeminął już... może bezpowrotnie.

I powie kto że główny tego powód jest w tém, iż Warszawa względnie jest małym miastem, a więc plotkarskim, a więc parafialnym. Ztąd pochodzi że wszystko dzieć się musi pod kontrolą domową i uliczną.

Więc naprzód przyznać trzeba, że miasto liczące około 200,000 mieszkańców nie jest małym. Istnieją daleko mniejsze i łatwo moglibyśmy je przytoczyć, w których niemoralność wzrosła do olbrzymich rozmiarów, a zdaje się to rzeczą zwyczajną i nikogo nie obrusza na siebie. I bogdaj nam się zawsze świeciło takie parafianstwo, które chroni nas od pograżenia w kale!

A kiedy taką jest Warszawa, miasto które przy końcu XVIIIgo wieku głównym było siedliskiem zepsucia, cóż dopiero powiedzieć o kraju.

Więc miał słusność Mickiewicz, stokroć słusność: Telimena jest u nas wyjątkiem, a Zosia zasadą. Taką Zosię każdy prawie dwór szlachecki, każda wiejska zagroda ukazaćby mogły; a Telimena, przybliżywszy tu z cudzoziemskimi zwyczajami i wyobrażeniami, nie znalazły dla siebie sposobnego gruntu i jak egzotyczne rośliny, potrzebujące osobnych wygód i starania, marniały i nikły pod jasnym ale chłodnym niebem naszym.

Dlatego to książka niemoralna w celu i zasadzie jest dotychczas jeszcze rzadkością u nas. Powieściopisarz odwzorowujący życie, nie mógł opisywać tego, co nie istniało, albo co istniało w wyjątkach tylko. Chyba tłumaczenie, przeróbka, albo niewolnicze naśladownictwo obcych piśmiennictw mogły do nas ten żywioł wprowadzić.

Teraz zachodzi pytanie, na czém głównie zależy niemoralność książki?

Żaden autor (z wyjątkiem osobnego rodzaju elukubracji literackich, których dzięki Bogu bardzo rzadkie okazy i tylko po większej części z obcych języków przepolszczone krążą u nas), żaden mówię autor nie przynosi się do tego, że szuka ponęty dla czytelników w odzwierciadlaniu ujemnej strony ludzkiego życia. Owszem, u każdego cel moralny zawsze na ustach, u każdego książka którą pisze jest nauką, rodzajem szkoły, która wskazując złe i wytykając je

uczy jak się od niego ochronić, jak je wymijać należy.

Są wprawdzie tacy, którzy nie zadają sobie nawet trudu, żeby w przedstawionej walce cnoty przynęcać zwycięstwo. Praca nasza jest odwzorowaniem życia, mówią oni, musimy więc nadać jej kierunek i rozwiązania takie, jakie najczęściej w rzeczywistości się wydarzają. Zład pomiędzy francuzkami powieściopisarzami utworzyła się przed kilkunastą laty cała szkoła, która wzięła sobie za cel i zadanie życia uniewinniać kobietę niewierną, *la femme coupable*. Może pierwszy popęd dziełom tego rodzaju dał sławny wiersz poety, którego główny urywek w przekładzie tu przytaczamy:

Nie urągaj kobiecie gdy jej cnota kona,  
Któż zna ciężar pod którym upada zgnieciona?  
Kto wie ile dni z głodem walczyła zażarcie,  
Gdy szturm nieszczęśliwego ogarniał jej duszę stroskaną?  
Widziano jak padała, a jednak uparcie  
Czepiała się do cnoty ręką zgruchotaną.  
Tak na kraju gałązki kropla dżdżu jaśnieje,  
W niej niebo i gwiazd jasnych odbłyśkuje złoto,  
Drży wraz z listkiem... z nim razem miota się

[i chwieje,

Perła póki na listku, a gdy spadnie... błoto!

Wierzmy że natchnienie do tych pięknych wierszy czerpał poeta w szlachetnym popędzie serca; ale w każdym razie parafrazy jakie one otrzymały w różnego rodzaju powieściach, dramatach, komediach i t. d., więcej z pewnością złego niż dobrego przyniosły. I doszło to do tego stopnia, że nazwano dążnością mieszczańską, zwrot kilku autorów nowego pokolenia, którzy starali się godności męzowskiej oddać cześć, z jakiej odartą została i utwalić nanowo świętość węzłów małżeńskich.

Ale daleko niebezpieczniejsi od tamtych są autorowie, którzy niby to pragną rzetelnym przedstawieniem zepsucia i niemoralności ludzkiej i wytknięciem szkodliwych następstw jakie one pociągają za sobą, naprowadzić czytelników na drogę cnoty. Często środki jakie obierają ku temu zupełnie przeciwny wywierają skutek. Bo z wiedzą czy pomimo-wolnie, kochają się oni w lubieżnych opisach, z dzieł ich namietność ognistymi tryską promieniami, wysilają cały swój talent na ponętne przedstawienie tych potępienia godnych obrazów. Z wybranych przedmiotów najlepiej uśmiechają się im te właśnie, które dają najwięcej pola jaskrawościom tego rodzaju. I mniejsza o nudne zdania moralne, o nudniejsze jeszcze pocziwe i cnotliwe postacie, któremi tu i owdzie ubarwiają swoje prace; czytelnik albo czytelniczka, zwłaszcza młodzi, z niecierpliwością przerzucają te płaczliwe i rozczulające kartki, żeby podążyć do obrazów rozplamienających wyobraźnię, w które czuć że autor włożył całą prawdę opisu, tak plastycznie i silnie wytryskują one z pod pióra.

Mniejsza tam o Francuzów, ale bolejemy za każdym razem, kiedy widzimy autora polskiego obierającego tę tak nową dla siebie i dla nas drogę. A zdają się to nasze przykre wrażenie, jeżeli autor cieszy się zasłużoną zkadina wziętością, jeżeli potrafił wyrobić sobie kółko czytelników wierzących w niego i w to co od niego pochodzi. Po co wyszukiwać wyjątkowe błędy i nadużycia, choćby one były prawdą? Po co gromadzić na nie całe światło uznanego talentu? Sens moralny daleko, a książka tymczasem szkodliwie może podziałać na niejednego czytelnika, który na wiarę autora weźmie ją do ręki. Czyliż chwałą jest dla pisarza polskiego, żeby matki, zanim oddadzą do czytania córkom jego dzieła, troskliwie je wprzód przeglądały i kładły pod indeks dbałości swojej macierzyńskiej?

Nie wytykamy nikogo imiennie, zaznaczamy tylko fakt nie pojedynczy na tępym polu, fakt tępym bardziej potępienia godny, im zdrowszej i posilniejszej dziś potrzebujemy strawy. Wiemy dobrze iż łatwiejszą i powabniejszą jest ta droga; ale nie tu leży prawdziwa zasługa pisarska. Dziwny zaiste zwrot i dziwniejsza jeszcze wybrana nań chwila!

W zastępstwie krytyki, która milczy dzisiaj, choć w innym razie z pewnością potępiłaby powojny tego rodzaju, uznaliśmy za konieczne to szczere wypowiedzenie naszego zdania.

Prorokują nam na ten rok bardzo długie przeciągnięcie się ciepłej i pogodnej pory. W powietrzu nie czuć jeszcze owęj późnej jesieni, co już wichrami i slotami zimy grozi. Wrony i inne ptastwo wiejskie, zbliżające się w zimie do mieszkań, nie rozpoczęły jeszcze swoich wędrówek; znać czują przedłużanie

się pogody, a instynkt ich pod tym względem jest nieomylny.

Szczęściem łagodna zima nie wpływa szkodliwie na urodzaje, bo od kilku lat wcale były one niezłe, a nawet w tym roku, choć im natura poskąpiła zwykłej ochrony śniegowej, dopisały one rolnikom.

Wyszedł już Kalendarz dla ludu polskiego na rok 1864, wydawany nakładem redakcji Gazety Rolniczej. Jest on o arkusz większy aniżeli w roku zeszłym, a cena pozostała ta sama złp. 1. Zdobią go stosownie dobrane illustrowane powiastki z życia ludu wiejskiego, przepisy gospodarskie w przystępny sposób wyłożone, i t. p.; słowem wydanie to staranne, a mianowicie tanie, co w nakładach tego rodzaju jest bardzo ważnym względem.

Kalendarz także Ungra już się drukuje i wkrótce zapewne wyjdzie z pod prasy. O ile wiemy, kalendarz ten ozdobiony będzie licznymi drzeworytami; można mu więc wróżyć powodzenie, tęp bardziej że na polu walki okaże się on wolny od znacznej części współzawodników, którzy znużeni upadli. Bo i na kalendarze wpłynęła także tegoroczna posucha wydawnicza, jakiej równiej od bardzo już dawnego czasu nie pamiętamy. Ale jakże się tu dziwić wydawcom, kiedy nawet pisma czasowe utraciły znaczną część swoich prenumeratorów, z których sobie z takim trudem i staraniem przez przeciąg kilku lat zeszłych dość poważne utworzyły kółko.

Tęp skwapliwiej przeto donieść nam wypada o pojawieniu się nowego fragmentu poetycznego w dwóch częściach, pod tytułem „Wacław,” przez Michała Drużynę. Autor datuje książkę z Paryża, a położyła przytęp na niej swoje firmę drukarnia Brockhousa w Lipsku, co dowodzi że aż dwa miasta odznaczające się pod względem księgarskim przykładały się do wydania tego dzieła, które kiedyś los Homera może spotkać. Paryż będzie je wydzierał Lipskowi i nawzajem.

Niedość na tęp, w przewidywaniu mnogich czytelników jakich sobie to dziełko niewątpliwie zjedna, debit jego ogłoszono we wszystkich znaczniejszych miastach europejskich, bo oprócz Paryża i Lipska: w Londynie, Berlinie, Brukseli i t. d. i t. d; tylko o Ameryce z jej krzywdą zachowane jest pogardliwe milczenie, może dlatego, że tam obecnie zacięta wojna się toczy, a więc literatura przez to już samo trochę na bok jest odsunięta.

Sam tytuł Wacław nie pierwszy już raz użyty został do poematu. Mamy Wacława Garczyńskiego, Wacława Witwickiego, Wacława w Maryi Malczeskiego i nie wiem ile ich jeszcze. Wacław pana Drużyny posiada bardzo piękną okładkę i wydanie bardzo ozdobne; może więc autor tak był zaufany w te zewnętrzne przymioty książki, że uważał za rzecz zbytęzną wyszukiwanie zalet wewnętrzzną jej wartość nadających.

Dla pozostawienia czytelnikowi swobody własnego sądu, przytoczymy mu tylko początek dzieła.

Salon ozdobnie i bogato ubrany. Lampa opadał fortepianu oświeca salon błędem półświatłem.

Hrabina Alicya (śpięwa przy fortepianie).

Gdzie ty jesteś, matko moja?

Tu bez ciebie córka twoja

Na tym świecie sama jedna....

O, jam bardzo biędne dziecie,

Mnie tak smutno na tym świecie!...

Bom ja biędna sama jedna....

O jakże ja jestem biędna!...

Nieraz biegam szukam ciebie

I nie pomnę żeś już w niebie....

Bo gdy wspomnę żem tu jedna,

Wtedy jestem bardzo biędna!...

I on także mnie porzucił,

Poszedł (musiała mu nieopatrna za wiele

piosnek swoich śpięwać) i już nie powrócił....

A ja jestem sama jedna,

O ja bardzo, bardzo biędna!...

Spodziewam się że czytelnicy będą mieli dość tęp tak uparcie jednę i biędnej bohaterki, której kochanek, bohater powieści Wacław, zupełnie odpowiednio do tego stylu pełnego kunsztowności wiersza i wysokiego polotu myśli przemawia. Jeżeli jednak zechcą się przypatrzeć gustownej okładce i starannemu niesłychanie drukowi, niechaj posyłażą do Paryża, Lipska, Berlina, a księgarńie tameczne chętnie postarają się zadowolić ich żądania.

## POMYWACZKA.

OBRAZEK Z KOŃCA XVIII WIEKU,

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Z rysunkami Gersona).

(Dalszy ciąg.)

Narada uroczysta u pięknej Anny odbyła się o naznaczonej godzinie i przedstawiała prawdziwy sejmik niewieści. Uznano sprawę w istocie za niezmiernie ważną i wymagającą gwałtownych środków... postanowiono wymierzyć wszystkie baterie wdzięków i przymileń na księcia Józefa, aby go od miłości, niegodnej bohatera, oderwać, a z drugiej strony dojść koniecznie do tajemniczej kochanki i starać się dowieść, że stałość i wierność nie są wcale przymiotami ludu i niższych stanów. Tryumfowano zawczasu trochę... piękna Anna brała na siebie odwołanie tego, którego serce postanowiła pozyskać choćby dlatego, by je potem ze wzgardą odrzucić i pomścić się za długą nieczułość..

Pierwsza część programu łatwą była do wypełnienia, bo nie było dnia żeby się nie spotykali z księciem Józefem; druga zależała cała od tego, by odkryć mieszkanie i istotę ową tajemniczą, o której mówili wszyscy, a nikt ję dotąd nie widział. Nie można było tego dojść inaczej, jak śledząc wszystkie kroki bohatera i w ślad za nim wkradając się do mieszkania nieznanomęj. Tu już kobiece zabiegi były niewystarczające. *Dziobalka* wprawdzie ofiarowała się przebrać za męzczyznę, ale wszystkie panie odrzuciły to poświęcenie, znajdując je daremnem. Na szpiega takiego potrzeba było męzczyzny zręcznego, któryby nie wahał się znieść przykrości, jakie ten stan za sobą pociąga i dotrwał, choćby u zamkniętych wrót, na ulicy, w błocie, póki do celu nie doszedł.

W tęp była główna trudność, bo posadzano wszystkich bez wyjątku męzczyzn o stronność dla księcia, o tajoną przyjaźń dla niego, wreszcie o sprzyjanie sprawie męskiej więcej niż wielkiemu przedsięwzięciu pięknych pań. Gdy przyszło do wyboru, zdania wielce się rozdziwiły i podawani kandydaci przez te panie, niemal wszyscy odrzuceni zostali. Znaleźnienie potrzebnego człowieka było niesłychanie trudnem... obawiano się zdrady..

Po długich i burzliwych rozprawach, w których dzwonek prezydentki Anny często nie skuteczną, ale niespokojną odegrywał rolę. stanęło na tęp, żeby powierzyć ję samej wybor tego, którego sejm niewieści do odkrycia tajemnicy delegował. Piękna Anna wzięła to na siebie, mając w myśli niedawno ze wsi przybyłego kuzynka, śmiertelnie w niej zakochanego, o którego poświęceniu dla siebie nie wątpiła.

Dalsze prowadzenie ważnej dla wszystkich sprawy miano obmyślić naówczas, gdy kuzynek na pewno dojdzie ukrytego skarbu i da o nim szczegółową wiadomość. Słowo o tym kuzynku jest koniecznem. Był to młody starościc Zabielski, wielkich nadziei, ale małego doświadczenia w świecie; Anna obowiązywała się nim pokierować i być mu we wszystkim mistrzynią.

Starościc, oddany przez matkę w opiekę pięknej Annie, zaczął od tego warszawską karyerę, że się w niej śmiertelnie zakochał. Wychowany na wsi, chociaż ocięrał się o świat większy, mało go znał wprzódy. Matka, kobięta najzacniejsza i nie umiejąca dostrzedz nigdzie zła ani w nie uwierzyć, strzegła jego młodość i zachowała w nim świeżość serca, z którą przybył do Warszawy, ciekawy, rozmarzony, pragnący.. Tu jakoś rozjaśniło mu się w głowie, ale odchorować musiał na utratę ideałów, na wiarę zachwianą w to co święta matka tłumaczyła mu wcale inaczej niż się zbliżka pokazywało. Staś Zabielski pozostał tylko z jedną niewzruszoną wiarą... w piękną Annę... Miłość, z której sobie kuzynka żartowała, czyniła z niej dla niego bóstwo; widział w kasztelanowej samą doskonałość.

Niezbyt wielkiego umysłu, pocziwego dosyć serca, lekki i ulegający wrażeniom, Staś w świecie zaczynał odegrywać tę rolę, która dlań była przeznaczoną, istoty niesamoistnej, łagodnej, mającej być narzędziem silniejszych. Nateraz władała nim piękna Anna..

Nazajutrz po wielkim sejmiku niewieści, wyprawiła Anna karteczkę do Zabielskiego, prosząc go do siebie na samo południe. Chłopiec przyleciał jak oparzony o jedenastę i przesiedział w przedpokoju godzinę, nim się pani trochę przybrała i stała widzialną. Wpuszczono go nareszcie do buduaru, w którym śliczna Anna właśnie piła czekoladę, siedząc jak zawsze naprzeciw zwierciadła.. Była zachwycająca...

w białych obłonach negliża, w czépeczku rannym, z lokami rozpuszczonemi umiejętnie, w szlafroczku różowym, który roztrwarty, bogato osztyła koronkami odsłaniał spódniczkę. Koniec małej nóżki w pantofelku aksamitnym, gryzł właśnie Dzidzi, który porzucił tę zabawkę, lecąc natarczywie na przybyłego. Staś przystanął we drzwiach, zachwycony obrazem... Anna uśmiechnęła się w duszy, czując jaki urok nań rzuciła; nieśmiały młodzieniec z bijącym sercem ledwie umiał się przywitać.

— Chodźże tu bliżej, kuzynku.. chodź i siadaj.. Chcesz filiżankę czekolady?

— O! dziękuję, dziękuję..

— Słuchaj, mam wielkiej wagi sprawę, którą ci chcę powierzyć, *ce seront vos premières armes*.. Ale nie zawiedźże mnie, starościcu.. Wybrałam ciebie, bo wiem że mi jesteś oddany. *N'est ce pas?*

— Al całą duszą.. życiem.

— O! o! tylko proszę nie iść za daleko! Będę ci bardzo wdzięczną, ale bardzo..

Spojrzenie dokończyło, pełne głębokiego znaczenia, pełne uroczych obietnic.

— Nim zacznę, dodała Anna stawiając filiżankę, muszę naprzód wymagać przysięgi..

— Na co każesz?..

— Przysięgi *d'un homme d'honneur*, na największą tajemnicę.. *J'espere que vous êtes discret*.

nie; naówczas doniesiesz mi gdzie się ta kobieta ukrywa. A.. resztę zobaczymy..

Staś mocno był zmieszany, spodziewał się innej roli, wyznaczona zdawała mu się niemal uwłaczającą.. Być szpiegiem, nawet dla ślicznej kuzynki, nie było dlań miłym. Twarz jego mimowolnie wydała to wrażenie.. ale Anna uśmiechnęła się, a oczy jej, przez chwilę skierowane na starościca, przekonały go wkrótce, że nie było ofiary do którejby dla niej nie czuł się zdolnym....

— A więc?

— Zrobię co tylko będę mógł! rzekł Zabielski..

— Zrób nawet to, co ci się zda niemożliwym i wierz mojej wdzięczności....

— Idę, leć, nie odstąpię go krokiem..

— Ale rozumię się, musisz go śledzić niepostrzeżony, przerwała Anna przestraszona, w największym sekrecie. Książę jest domyślny, ty musisz być ostrożny, pamiętny. A teraz idź i nie trać czasu..

— Lecę! rzekł starościc..

Anna podała mu rękę na pożegnanie i upoiła go wzrokiem.

— Byleby jakiego głupstwa nie zrobił! rzekła w duchu, o zapale nie wątpię. Ale czy ten mu *da zrzeczność?*

niósłszy za sobą, mignął jak strzała i zostawił w tyle wszystkich. Na rogu alei Ujazdowskiej była naówczas modna garkuchnia, w której wyprawiano śniadania; najślawniejsze w niej były raki, ale że na nie pora jeszcze nie przyszła, zastępowały je kurczęta i różne przysmaki, a lepiej jeszcze olbrzymie libacye, tak naówczas częste i w codzienny prawie obyczaj weszły od Sasów.

Karykl księcia Józefa stał właśnie przed tym domkiem otoczonym zielenią, a kilka innych powozów dowodziło, że oprócz niego było gości wielu.. Staś poznał konie Potockich, Lubomirskiego, Sapiehy... Choć nieproszony, wcisnął się do sali..

Książę Józef przechadzał się, nie myśląc zasiać do śniadania, zrobił grzeczność amfityronowi że przybył, ale nienawykły do kielicha, umoczył tylko usta i zabił się już do odjazdu, pod pozorem pilnej bardzo wojskowej sprawy..

Staś przywitał się z nim grzecznie.. i z przestraszeniem dostrzegł na twarzy księcia dziwny, prawie szyderski uśmiech.

— Al spodziewałem się tu ciebie! rzekł mu książę.

— Jaktó!

— Chodź, to ci powiem dlaczego, dodał pierwszy, biorąc go pod rękę i uprowadzając w głąb salki.. No! patrz mi w oczy śmiało! Anna ci kazała mnie śledzić i wykryć tajemniczą istotę jakąś, o której



Kury, indyki, gęsi i pawie księżny marszałkowej Lubomirskiej padły ofiarą podchmielonych.

— Jak kamień...

— Przysięgasz?

— Przysięgam na wszystko najświętsze.. a najprzód na moje... na mój szacunek dla ciebie..

Podala mu rączkę bieluchną, miękką, atlasową, jakby dla przyjęcia przysięgi. Staś złożył na nią gorący pocałunek.. Gotów był dać się powiesić za nią.

— Zobacz czy ta nieznośna Róża nie podstuchuje pode drzwiami. *Elle est d'une curiosité*.. Idź na palcach...

Młody chłopak poszedł i obejrzał się dokoła, a Dzidzi towarzyszył mu w przechadzce, chwytając go za nogi.

— Niema nikogo.

— Siadajże, ale bliżej, abym cicho mówić mogła..

I wskazała mu miejsce tuż przy sobie.

— Wiiesz, lub nie wiiesz, musiałeś słyszeć przecie, że książę Józef, gardząc nami wszystkimi.. pokochał się w jakiś prostą dziewczynię, w szurgocie, *une laveuse de vaisselle*.. *enfin*, nie wiedzieć w kim... *C'est une horreur!* postanowiliśmy go ukarać! Ale potrzeba dojsć kto jest ta kobieta, gdzie ona mieszka.. jak wygląda.. a nikt dotąd tej tajemnicy przeniknąć nie umiał. Jesteś wybrany na to.. musisz się dla mnie poświęcić..

— Al rzekł młody chłopiec.. Ale nauczciez mnie co mam robić..?

— Śledzić go krok w krok i dojsć, dojsć koniecz-

Wybiegłszy dopiero na ulicę i ochłonawszy po wrażeniu tych czarodziejskich spojrzeń, które go nabawiły szału, starościc pomiarkował że rzecz której się podjął nie była tak łatwą, jak się na pierwszy rzut oka zdawało..

Nie należał on do tych satellitów, do *tężyzny*, która nieodstępnie prawie okrażała księcia i całe dnie z nim spędzała.. nie mógł tak nagle przywiązać się, przyczepić i śledzić go niepostrzeżony.. bał się aby go nie odkryto, aby się roli upokarzającej, jaką przyjął na siebie, nie domyślono; nie chciał narazić się księciu i jego przyjaciółom, bo z wpływem ich walczyć nie mógł.. Poczul że się porwał na zadanie przechodzące jego siły..

Na los szczęścia rzucił się do powozu najętego i kazał wieźć się na Krakowskie, spodziewając się gdziekolwiek spotkać księcia i znaleźć pretekst, by się go uczepić na dzień cały. Ale zaraz na wstępie postrzegł karykl karemi końmi zaprzężony, który szybkim klusem mignął mu tylko przed oczyma i zniknął, lecąc w aleje Ujazdowskie..

Staś kazał jechać za księciem..

Choć powóz który naprędece pochwycił, zaprzężony był dobrimi końmi, świeżo sprzedanymi przez hr. Thomatis i rozpoczynającemi dopiero swój zawód najemników, nie można było niemi walczyć z rumakami księcia Józefa, który tylko kurzawę ogromną pod-

wieść chodzi ztem w niej zakochany szalenie. Nie kłam i przyznaj się.. zdrowiej ci będzie.

Piorun byłby mniej może wstrząsnął starościca nad te wyrazy. Cofnął się przestraszony.

— Widzisz, ja jestem czarownik i wiem wszystko, nawet to, coście przed półgodziną mówili z sobą w buduarze Anny... choć jeden Dzidzi był świadkiem. Nie zapiéraj się, nie mam ci za złe żeś jej przyrzekł co chciała. Jesteś w tym wieku, kiedy dla czarnych oczów, dla ramion otoczonych koronkami białemi, osłonionych w aksamity i atlasy, życie się nawet poświęca.. Niestety! szkoda życia! ale mniejsza o to... Mina podszadzona podemnie jest odkrytą... ale mi cię żal, chcę cię ratować Stasiu...

— Mości książę....

— Dwa słowa.. Daj sobie wieczorem zawiązać oczy, a będziesz widział tę, którą tak odkryć pragniesz.. i pozwolę ci opowiedzieć co posłyszysz i zobaczysz.. Chcesz?

Staś stał osłupiały. Struchlał, nie wiedząc co ma odpowiedzieć.

— Nie zapiéraj się.. przyjmujesz?

— Przyjmuje! rzekł zaczerwieniony chłopak... Ale książę się nie gniewasz?

— Widzisz że się tylko śmieję..

Podali sobie ręce..

— Starościcu, jesteś młody, dodał książę Józef,

jedną ci dam radę: dawaj kobietom życie, jeśli je masz na zbyciu, ale... strzeż się w ich ręce powierzyć... honoru... Dziś to jest igraszka, jutro by mogło być gorzej... Do zobaczenia, o godzinie dziesiątej czekam cię u siebie... przyjdiesz pieszo... Dopóki nie zobaczymy się, nie masz prawa pisać ani słowa...

Stas skłonił się pomieszany.

— Unikaj dziś Anny.. jutro powiesz jej wszystko... Latać za mną... byłoby napróżno, nie odkryjesz nic... ja ci sam wszystko pokażę... Anna będzie na herbacie u hetmanowej, ty nie jedź.. Zresztą bądź spokojny, wyjdiesz zawsze z tryumfem, zobaczysz to, czego świat nie widział... Do widzenia.

To mówiąc, książę odwrócił się, wbiegł w kółko biesiadujących na chwilę i pojechał do Mokotowa, do księżny marszałkowej Lubomirskiej. Śniadanie, na które gwałtem wproszono Stasia, przeciągało się dalej, przybierając rozmiary niezmierniej pijatyki. Młodzież doszła do tego stopnia rozszalenia i dobrego humoru, iż przewidywać było łatwo, że się śniadanie na sucho bez jakiegokolwiek historii nie skończy. Jakoż w istocie gotowała się ta sławna późniejsza sprawa, o której wspomnieć musimy, bo maluje dobrze ten dziwny szal, jakiemu ówczesna młodzież ulegała. Rozpowiadano długo o tém śniadaniu i Infantczyk podróżny, który zostawił opis swjej podróży po Polsce, wspominał o niem, jako o charakterystycznym rysie obyczajowym epoki.

Księżna marszałkowa utrzymywała u siebie w Mokotowie wielką ilość rozmaitego ptactwa i drobiu: bazanty, kury afrykańskie, pawie, które ożywiały ogród i dziedziniec. Do wielu ówczesnych fantazji, na jakie próżnujący ludzie chorować zwykli, należała hodowla zwierząt, zamięłowanie w bonończykach, a u mężczyzn amatorstwo koni niepospolitych i drogich. Przepłacano taranty, konie izabellowe, małe kucyki, długogrywe lub fryzowane. Księżna marszałkowa lubiła bardzo swoje kury i gąski; może też krowiarnia Maryi Antoanety trochę na to wpływała.. Po wyjeździe księcia Józefa do Mokotowa, młodzież wychylała kielichy, które wprędce rozpalily głowy. Zrodzily się zale i pre.ensye do księcia, że im towarzystwa nie do. rzymał. Któs rzucił myśl: weźmiemy wina z sobą i pogonim za nim do Mokotowa...

— Brawo! jedźmy do Mokotowa!

W takim usposobieniu umysłów najnieodrzeczniejszy wniosek bywa przyjmowany łatwo. Ruszyli się wszyscy, obśiedli powozy, zabrano kosz szampana i cała ta czerada, śpiewając pieśni pół-francuzkie, pół-polskie, zatoczyła się przed ganek, gdzie naturalnie jej nie przyjęto; księcia Józefa także nie zastali. Odmówienie, które spotkali u drzwi, obraziło przewodzców tej demonstracji..

— Musimy choć kartę wizytową po sobie zostawić... rzekł jeden...

— Zrobimy polowanie!

Niewiedziąc jak do tego przyszło, ale wszyscy



Zerwała się z krzeselka i na palcach pobiegła ku niemu, wskazując uspioną staruszkę.

stek drób i ptactwo księżny marszałkowej padło ofiarą śniadania; kury, indyki, pawie, gęsi, pościano szablami. Trwała ta rzeź i upędzanie się za wypłoszonym ptactwem dobrą godzinę, a ludzie księżny, zrazu spróbawszy stanąć w obronie przeciw napaści, zmiarkowali, że z podchmielonymi niema co żartować, co-

syć obojętnie; tak wymagała strategia, która każe grać chłod, gdy postrzeżę z drugiej strony choćby promysek uczucia. Książę Józef uśmiechając się ją przywitał.

— Jakżeśmy się dawno nie widzieli!

— Al! to przynajmniej nie moja wina! odparła Anna z wymówką.

— Moja zbrodnia, do której się przyznaję, i na klęczkach o przebaczenie za nią proszę.

— Książę to nie na mnie jedną jesteś tak niełaskaw, ale na cały nasz biedny świat... Utonąłeś gdzieś w swych książkach, czy?... ja nie wiem, ludzie różnie mówią.

— Al! czegoż to ludzie nie mówią!

— O! to prawda! na księcia szczególnie, o którego wszyscyśmy zazdrośni...

— Cóż naprzykład?

— Żeś zakochany...

— Al! w pomywaczce! *vielle histoire!* słyszałem...

— Bo już ciż w wieku twym, mości książę, nie można nie kochać..

— Ale można głęboko miłość ukrywać... Książę westchnął.

— Jeżeli się jej wstydzicie potrzeba...

— Jeżeli jest bez nadziei i bez przyszłości...

— Dla was, mości



Szalony, rzekł książę, kłoby życie oddał za tę miłość... bo któraż z was kochać umie?

książę? niema miłości bez nadziei... cicho szepnęła piękna Anna.

— O! pani, rzekł książę, różne są nadzieje.. Nazywam najniezwyklejszą miłością bez nadziei taką, która nie zasłania nam sobą całego życia aż do grobu... która jest jak kwiatek wdzięczny, co ma nieodwrotnie jutro uwieść; lepiej go nie zrywać.

— Dlaczego? nie jestże wszystko szczęście tego świata tylko wonią kwiatka chwylową?

— To odrzuciła od życia westchnęła książę... Szczęściem że całe życie nie zamyka się w miłości..

— Tak, dla was... ale dla nas...

— A! droga pani, dajmyż pokój tej żegludze po rzece *du tendre*... mówmy otwarciej, wybuchnął książę Józef... Szalony toby życie za miłość postawił... bo któż z was kochać umie?

— Mości książę!

— Któż z was ma serce? dodał książę Józef.. co się u was sercem i miłością nazywa? Bądźmy szczerzy: fantazyja, podbudzona miłość własna, próżnostka, próżnowanie;... ale cichego, głębokiego przywiązania na wieki, gotowego do poświęceń... o! tego u was szukać, byłoby stratą czasu i szaleństwem...

— I dlatego książę, odparła urażona Anna, puściłeś się w podróż odkryć pomiędzy... pomywaczki...

— *Vous y tenez!* rzekł śmiejąc się książę, niech i tak będzie... Spodziewam się odkryć jeśli nie Amerykę, to choć spokojną jaką wyspę na oceanie, gdzieby po trudach długiej żeglugi i burzliwego morza odetchnąć można...

— Coś w rodzaju Robinson'a Cruzoe? rzekła Anna..

— Pani dziś jesteś złośliwą.

— O! nie, wierz mi książę, jestem w jaknajlepszym humorze...

— Ja także, zawołał książę Józef. Jak to się szczęśliwie schodzi; moglibyśmy zabawić się wesoło...

Anna spojrzała mu w oczy; w istocie błyszczał w nich dowcip i swoboda.

— On szczęśliwy! rzekła w duszy, z czoła mu promienieje tajemnica! Szczęśliwy... z kim? jak? *c'est indigne!*

W sercu pięknej pani zrodziła się zazdrość gorąca; książę patrzył na salon z obojętnością człowieka starego, którego by lalkami bawić chciano..

Piękna Anna odsunęła się powoli.

— Czekaj! szepnęła w duszy, nie ukryjesz się przed nami, musimy wiedzieć twą tajemnicę; a wówczas *nous aviserons!*

— Mości książę! rzekł zbliżając się doń Branicki, na którym znać było nieco hulankę obiadową i świeżo opuszczony stół biesiadniczy... Stoisz jak marmurowy Apollo belwederski wśród tego raj, zimny, obojętny... Jeśli tych oczów blaski nie potrafią cię ożywić, to cóż u licha życie w tobie obudzi?

— Co? rzekł książę, wiesz co? oto trąbka bojowa, koń rżący z niecierpliwości, kurzawa bitwy i pogoni i gorączka walki zajadłej... A! gdyby znowu wojna, jakbym polecał skąpać się w tym ukropie... odżyłbym może jeszcze! Tak gnusnie patrzeć w czarne oczy... raj Mahometa... ale śmierć sercu mężkemu.

— A! a! czarne oczy! piękna Anna! szepnęła Branicki, widzę co się święci... i toż przecie walka... Życze szczęścia i usuwam się z drogi...

To mówiąc wszedł między mężczyzn, a książę Józef po chwili wysunął się z salonu.

Starościc Zabielski, odpawwszy swój powóz, czatował już na księcia Józefa, i gdy ten powracał do domu, znalazł go na ganku, trochę ostudzonego chłodem wieczornym i rozmyślaniami dnia całego.

— A! słowny jesteś, rzekł książę, to dobrze; chodź ze mną, zdaje się że nie pożałujesz zachodu.

Weszli do saloniku, w którym gospodarz zostawił gościa, dając mu jakieś wielkie *infolio* do przeglądania, a sam poszedł się przebrać. W kwadrans potem powrócił po cywilnemu i zawołał do starościca po francuzku.

— Jeszcze mamy jedną formalność do spełnienia. Oczy ci zawiąże; ale gdybyś przypadkiem jakim odkrył okolicę i poznał miejscowość, wymagam słowa honoru, że o niej Annie słowa nie powiesz.

— M. książę, rzekł starościc, ponieważ mnie sam wieziesz, nie masz się o co obawiać.

— Więc idziemy... Służę ci.

Nie wyszli z pałacyku przez główne drzwi, ale bocznymi wschodami. Książę przeprowadził Zabielskiego po ciemku; ścieżką która szła do ogrodu, spuścili się na dół, wyszli furtką ukrytą w zaroślach, a na ulicy zostali stojący powóz zamknięty, bombę w rodzaju tych jakie wówczas były w modzie. Książę wpuścił naprzód starościca, czarną chustką silnie zawiązując mu oczy, siadł potem sam i szepnął coś furmanowi. Powóz mimo ciemności potoczył się szybko... Starościc spodziewał się zorientować, wkrótce jednak poplątało mu

się w głowie; czuł bruk pod kołami, potem ziemię ubitą, potem znów twarde kamienie, i znowu miękkie błoto wiosenne i znów nierówny bruk miejski.. Powóz po dobrej półgodzinie szalonego biegu wstrzymał się, a książę wyciągnął starościca, zakazując mu oczy odsłaniać; ujął go za rękę i poprowadził z sobą po cichu. Zabielski słyszał otwieranie furtek i drzwi kluczem, który przybyły miał z sobą... Raz czy dwa wóz zielonych drzew i gałęzie, wilgotne rosą wieczorną, dały się uczuć starościcowi, potem weszli do mieszkania.

— Stój tu, rzekł książę.. naprzeciw ciebie są drzwi szklane przysłonione firanką. Możesz ją ostrożnie poruszyć i patrzeć.. ale siedź cicho.. bo się pogniemy. Jeśli masz kaszel, staraj się go stłumić w sobie.

Zabielski, usłyszawszy instrukcyję, żywo oderwał z oczów zasłonę i obejrzał się. Księcia już nie było... stał w pokoiku ciasnym, ciemnym, ale trochę światła wpadało doń przez zasłonę we drzwiach, u których go postawiono. Z ciekawością niezmierną Staś zbliżył się do nich, poruszył firankę i wzrok chciwy zatopił w przyległym pokoiku, w którym panowała cisza.

Pokoik był bardzo skromny, cały ukwiecony, świeżuchny, w okienkach białe firanki upięte wdzięcznie, sprzęt przyzwoity, jakkolwiek niewytworny wcale... Stolik, kanapka, mały klawikordzik w kątku, na którym leżały nuty otwarte, na stoliku trochę książek i papierów; świeca woskowa paliła się, niebardzo strzeżona widać, bo długi knot jęj świadczył, że o niej zapomniano.

Tuż w fotelu drzemała staruszka, której pończocha spadła na kolana, a głowę pochylała aż na piersi; sen widocznie ją zmógł mimowoli, bo palce trzymały jeszcze druty i poruszały się nieco, jakby do pracy powrócić chciały... Naprzeciw zamysłone, z rączkami skrzyżowanymi na kolanach, z główką pochyloną, siedziała dziewczę dziwnie piękne, drobne, kształtne, z czystym czołem dziewczęcym, które koronowały gładko uczesane włoski, z różową buzią aniołka i wyrazem niewinności na twarzy, prawie dziecięcej. Staś uderzony był tą pięknoscią, niepodobną do hałaśliwych, narzucających się wdzięków pań stołecznych; była sobie cicho piękną jak obrazek jakiś, jak marzeńko niebieskie, i tak beznamietnie, spokojnie szczęśliwą, jak gdyby dla niej zakres pragnień nie przechodził progu izdebki. Kiedy niekiedy spoglądała na staruszkę i uśmiechała się nieznacznie z wyrazem przywiązania i czułości.

Gdy się tak starościc przypatruje ciekawie, chwytając wszystkie szczegóły obrazka, drzwi się otworzyły i wszedł powoli na palcach książę.. ale nim jeszcze ukazał się w progu, już przecucie zwróciło ku niemu główkę dziewczęcia, które zadrzało, zerwało się z krzeselka i na palcach pobiegło ku niemu, wskazując uspioną staruszkę..

Zdumiał się bardzo starościc, widząc że książę przywitał podbiegającą pocałowaniem jęj ręki, nie okazując wcale spoufalenia zbytniego.. ale natomiast w oczach jego i Julii promienista świeciła radość.

— *Mais c'est une idylle!* rzekł w duchu starościc, któremu żywo bilo serce.

W tój samej chwili staruszka się przebudziła; żywo naprzód zaczęła robić pończochę, nie spostrzegłszy księcia, otarła knot u świecy i zobaczywszy go dopiero, zerwała się zmieszana..

— A! mości książę! odezwała się po francuzku stara... doprawdy sama nie wiem jakim sposobem takem się zamysłowała... Mogłoby się wydać komu żem zasnęła, chociaż doprawdy nie spałam. Julka siedziała zamysłona, i mnie także przyszły wspomnienia do głowy.. sama nie wiem...

— Ale moja pani Lagrange.. grzech to niewielki.. gdybyś nawet zdrzémnęła...

— Doprawdy m. książę, nie spałam...

Julce pusty śmieśzek przelatywał po ustach, ale usiłowała go ukryć i przytłumić.. Patrzyła na księcia, a książę na nią z uczuciem spokojnego przywiązania.. Starościc stał osłupiały.

— Cóżś robiła, moja panno Julio? zapytał po chwili.

— O! dzień nam przeszedł jak zawsze w pracy..

— Ona się istotnie zmęczyła, podchwyciła p. Lagrange..

Z rana przychodził Folino do rysunku.. pokaz że album moje dziecię... potem de Santis do śpiewu i do fortepianu, potem czytaliśmy razem..

— A! tego nudnego Rollina, przerwała Julia.. aleś książę kazał uczyć się..

I spojrzała na niego...

— I chodźliśmy na przechadzkę, dodała staruszka.. wieczór był przesłiczny..

— A więcęj ko, moja miła? zagadnął książę.

— No cóż, tęskniłam za księciem.. odparło dziewczę, jak zawsze.

— O! czyż za mną?

— Alboż jest kto dla mnie więcęj na świecie, nad mojego księcia, mojego pana?

— Opiekuna, dodał książę Józef wesoło, starego, nudnego opiekuna, który przychodzi dawać nauki moralne, bez względu na wiek, na młodość trzpiotowatą.

— Książę się obgadujesz, rzekła Julka, a mnie się na lzy zbiera, gdy na ciebie patrzę..

— O! już jak ona kocha księcia, to doprawdy aż do niedorzeczności, odparła p. Lagrange; cały dzień żeby pomyślała o czém inném: rysuje mówi o księciu, gra, myśli o księciu, chodzimy, patrzy tylko czy go gdzie nie zobaczy.

— I nie nudno ci tak, moja Julko? spytał książę..

— A! może być nudno w takim szczęściu? Starościc dojrzał lzy w jęj oczach.. Spuściła główkę i zarumieniła się milcząca.

— Ale książę by co może zjadł? przerwała p. Lagrange, mamy poziomki.. śmietankę..

Julka nie mówiąc podniosła oczy na niego powoli, a Francuzka zaczęła się krzątać około podwieczorka.. Zostali sam na sam; coś szepotali z sobą, ale starościc z podziwieniem przekonał się, że ta pogardliwie pomywaczką przezywana dziewczeczka, była dla księcia jakby dzieckiem ukochaném; że miłość jego dla niej była pełna poszanowania i tkliwości, czémś na ów wiek zepsucia nieopojeciem czystém i idealném.

Z obu stron widać było przywiązanie namiętne, ale umyślnie ze strony księcia utrzymujące się w granicach szczęścia czystego i niezakłóconego.

Gdy w niebytności pani Lagrange pocałował ją w czoło ze wzruszeniem, Julia oblała się rumieńcem, jak krwią całą, pochylała się na jego ramię i znowu parę łez brylantowych zaświeciło na jęj powiekach.

— O mój panie! jakże mi dobrze żyć tój życiem, które otwarłeś przedemną, coraz szczerzszym sercem, coraz silniejszą myślą, coraz większym spokojem ducha! Cóż gdy czuję że te kwiaty dla mnie rozwijają się nad brzegiem przepaści. Ciebie inny świat, inne przeznaczenie czeka.. każda chwila może mi ciebie odebrać... a potem... cóż? samotna śmierć..

Po czoło księcia przeleciała chmurka i westchnęła..

— Nie Julko, póki ty mnie kochać będziesz i ja ciebie, nie nas nie rozdzieli.. Tyle mojego szczęścia, co przy tobie i z tobą.. Może przyjdzie chwila, gdy mnie obowiązek honoru powoła z orężem w rękę na pole walki, wówczas rozstać się będziemy musieli.. Może umrę.. mam przecucie wczesnej śmierci, ale się jęj nie boję, wierzę w przeznaczenia zagrobowe.. dziwnesny mi przelatują głowę.. Więsz, zdaje mi się często, że pamiętam jakieś życie przed tój życiem i spodziewam się życia po śmierci.. Jakiego? nie wiem. Czuję że ciebie gdzieś wpród widziałem.. spotkałem, żeśmy się już kochali dawniej.. Byliśmy dwojgiem ptaków... lataliśmy razem nad szerokiemi płaszczyznami, mieliśmy gniazdko u brzegu w sitowiach... Mnie dziki strzelec zranił, padłem w wodę i tonąłem.. czulem krzyk twój.. latającej nademną, muskałaś skrzydłem fale, które mnie pochłonać miały; jam się pasował z niemi.. naostatku i głosu już twego nie słyszałem... Głucha, straszna otoczyła mnie ciemność, jakby sen długi bez marzeń...

— Co tój to książę sobie roisz! zawołała Julka, której usta uśmiechały się, a oczy zachodziły łzami... Ja doprawdy niedobrze nawet rozumiem.. Gdzieżby człowiek mógł się stać ptaszkiem, albo ptak człowiekiem?

Książę zadumał się chwilę..

— Ty możeś była kwiatkiem na łące, różanym, nieprawdaż? rzekł uśmiechając się..

— Książę sobie żartuje..

Wtém pani Lagrange wniosła poziomki i śmietankę. Książę zasiadł z Julką przy stoliku i zaczęła się cicha rozmowa..

Starościc patrzył, i ta scena sielankowa, te rozmowy urywane, to obejście się braterskie księcia Józefa, niezrozumiałemi mu się zdawały, jakby komedia dziwna i prawie śmieszna.

Już ten świat Warszawy trochę go był zepsuł; ale Zabielski był młody i uczucie wkrótce przemogło.. Z wielbieniem, z zazdrością począł się wpatrywać w ten obrazek cichego, spokojnego szczęścia.

— A teraz do egzaminu! zawołał po chwili książę, pokaż mi robotę.. zagraj mi co, zaśpiewaj..

— De Santis z niej nadzwyczaj kontent, rzekła szybko pani Lagrange; mówi że święższego, piękniejszego głosu nie słyszał oddawna... Rokuje Julce świetne powodzenie, gdyby kiedy w operze wystąpić chciała.

Książę się rzucił i zmarszczył.

— Co za myśl! zakrzyknął. Teatr! nigdy na to nie pozwolę.. Czyż głos Bóg dał na to, aby koniecznie z niego szukać chluby, oklasków i zysku? Dośćby było nogą stąpić na te deski, aby stracić spokój i niewinność duszy!

Julka pobiegła do fortepianu i nie słysząc prote-

stacy księcia, zaczęła świeżym, pełnym głosem arya Mozarta; ale po pierwszych taktach książe jęj przerwał.

— Dość! dość! rzekł... ta myśl teatru truje mi wrażeń jęj śpiewu... Zdaje mi się że ją widzę zmienioną, wystrojoną, śmiejącą się stu na raz czcicielom... wietrznicą, pustą i bez serca...

Julka skoczyła od fortepianu i żywo przybiegła do księcia, patrząc mu w oczy wzrokiem w którym oburzenie błyskało.

— Książę, rzekła, nie wszystkie kobiety rodzą się bez serca, lub tracą je w młodości... Ja czułam je w piersi, nim nazwać jego bicie umiałam; ja go już nie stracę... To życie o którym mówi stary de Santis, nie uśmiecha mi się wcale, wystrasza mnie jak groźba. Ja kocham ciszę, spokój, ten mój los, nad który szczęśliwszego nie pojmuję, ja czuję że oklaski nie nasycają, że burza i niepokoja... Chciałabym śpiewać dla mego opiekuna, grać, uczyć się, wyrozumnieć, wypięknąć, aby mnie uznał kiedy godną tego przywiązania braterskiego, którym mnie biedną obdarował niezasłużenie... Chciałabym być czems dla niego, dla niego jednego.. a potem, gdy mu się znudzę, gdy mnie odepchnie, zapomni, resztę życia spędzić we wspomnieniach, na marzeniu o chwili szczęścia, na rozpamiętywaniu dni jasnych...

Julka rozplakała się, książe ją uspokajał czule, ale znać było po nim że się powstrzymywał i hamował, że więcej czuł niż okazywał, że umyślnie nawet wesołość, której w duszy nie miał, udał dla jęj rozweselenia. Powrócono do poziomek..

Staroście patrzył przejęty, a ile razy wzrok księcia skierował się ku niemu i fircance za którą stał, prawie się gniewał na niego za to obojętne postawienie go za drzwiami szczęścia, jakby nic nie znaczącą jakąś istotę..

Pokutnicze wyczekiwanie za drzwiami i przypatrywanie się scenie, która coraz zjadlejszą zazdrość budziła w Zabielskim, trwało dosyć długo.. Naostatek książe po rozmowie cichiej z Julką, którą potrafił rozweselić i ożywić znowu, pożegnał ją i panią Lagrange, co zjadłszy niemal wszystkie poziomki, już drzémac znowu poczynala... Po chwili staroście uczył rękę, która go ujęła i wywiodła na powietrze. Książę zawiązał mu oczy, wsiedli do powozu.. Jakiś czas milczeli oba, nareszcie książe się odezwał poważnie:

— Widzisz teraz tę rozpustę sybaryty, szukającego upojenia w poczwarnych jakichś zachęceniach.. Nadto jesteś młody, abym potrzebował ci dowodzić, że ten stosunek zrodziła pustka serca, brak uczucia, a nie szal jakiś zwierzęcy.. Nasz świat, staroście, jest światem drewnianych lalek, po których towarzystwa żywego człowieka, serca prawdziwego pragnie się jeszcze goręcej.. Te lalki ludzą cię pozorem, drażnią, do rozpacz przywodzą.. Któż mi może wzbronić tego pół braterskiego, pół ojcowskiego szczęścia, którego kosztuję przy tym dziecku..? Można mię spotwarzyć, o to nie dbam... lecz okrucieństwem byłoby spotwarzać mi na drodze.. i śmiać coby to przedsięwziął, zyciemby przyplacił pewnie. Po atmosferze salonów tu świeżem oddycham powietrzem, tu naturalnego widzę człowieka, tu czuję serce, tu kocham i zapominam o wszystkiem.. Możesz opisać Annie coś widział, dodał książe, ale nie podawaj tego w sztyrsto, bobyś popelnił występki..

Staś milczał, dziwnie przejęty i pomieszany...

— Gdzie cię mam wysadzić? spytał książe Józef...

— Gdzie się księciu podoba...

— Może naprzeciw mieszkania Anny? Zdasz jęj sprawę z posłannictwa pod pierwszym wrażeniem, to lepij.. Niema więcej nad północ, wpuszczą cię jeszcze... Zaspokój to gorączkowe pragnienie ciekawości..

Po chwili powóz na dany znak wstrzymał się i staroście zamyślony znalazł się przed pałacem zajmowanym przez Annę. Książę odjechał ku zamkowi, a Zabielski ogłuszony zastukał do bramy, poza którą świeciło się jeszcze.

— Pani wróciła? spytał szwajcara..

— Niema jęj, ale jest spodziewana co chwila; a przykazano mi, gdybys jw. pan przybył, prosić bys na nią raczył poczekać..

Staś wszedł na wschody, układając w głowie co jęj rozpowie.

W sali palił się ogień na kominku, w zyrandolach światło; u drzwi Louis drzemał oczekując, a Dzidi na aksamitnej poduszce zawarczał zdaleka, mniej będąc zuchwałym w niebytności pani. Staroście rzucił się na krzesło; głowę miał pełną obrazu który tylko co widział, serce jakieś rozkołatanę, niespokojne. Szczęście sielankowe księcia Józefa w tym salonie zdawało mu się prawie śmiesznem, tak jak ów salon z izdebki Julki wydałby mu się nieprawdopodobnym... Porównywał w myśli Annę z tą prostą dziewczką, i namiętność tylko ciągnęła go do pierwszj,

gdy do drugiej wiodła siła mu nieznaną spokojnego współczucia.

— Jestem śmieszny przez swoją wrażliwość, rzekł do siebie. Jak to być może, żeby to dziewczę taką w mych pojęciach czyniło zmianę? Dlaczego Anna zdaje mi się mniej powabną? Dlaczego te wspaniałości i zbytki rażą mnie jak teatralne lachmany?..

Domawiał tych wyrazów, gdy szmer się zrobił w domu i piękna Anna w szalu indyjskim, który się za nią włócił puszczony z ramion, w toku z piórami, wślizgnęła się do salonu.. Dzidi wybiegł naprzeciw niej szczekając..

— Al staroście! zawołała, szukając oczyma nie jego ale zwierciadła.. z raportem! nieprawdaż..

Staś zdziwił się, mimo blasku stroju obrachowanego, na podniesienie jęj wdzięków, znajdując ją mniej piękną niż zwykle, ładną sztucznie, zbyt wymuszoną pięknoscią.. Anna rzuciła się na sofę..

— Cóż masz? spytała cicho, ze zwierciadła rzucając na niego wzrokiem omdłym.

Staroście nie bez zgryzoty pewnej sumienia zaczął jęj opowiadać wszystkie przygody.. Anna słuchała milcząca, niekiedy uśmiechając się kwaśno. Mimowoli w mowie starościa czuć było zazdrość trochę i zbyt wielki zapał dla ubogiej dziewczki.

— Wszycyście tacy, przerwała mu wśród opowiadania Anna.. Byle co nowego, niezwyčajnego, choćby brudne dziewczę z garderoby.. imaginacya się zapala.. Al fel!

(Dokończenie nastąpi).

## KOŚCIÓŁ Ś. RAFAŁA i figura Zbawiciela na Śnipiskach.

W jednym z najkorzystniejszych pod względem estetycznym miejsc stoi bezwątpienia kościół świętego Rafała w Wilnie, na przedmieściu zwanem Śnipiszki, od Śnipa czy też Śnipisa, któremu Witold oddał tę część ziemi, wynagradzając jego usługi. Wybiegłszy zeskromnej acz licznej rzeszy domów i fabryk (1) śnipiskiego przedmieścia, stanął nagle na wzgórzu, jakby zdziwiony cudnym krajobrazem Wilna, co się majestatycznie u stóp jego rozwinął, a wdzięczne dwie jego wieżycyce poważnie odbiły się w zwierciadle wód Wilio-wych.

Świątynia ta wydałaby się może mierną na każdym innym miejscu, znikłaby, gdyby ją postawić pomiędzy murami; lecz zachwycająca miejscowość, rozległy widok, rozciągający się u jęj stóp, pozwala bez przesady, z Gołębiowskim pijarem, tłumaczem „Polski“ Starowolskiego, nazwać ją „wspaniałym kościołem.“ (Opis królestwa polskiego, 402 str.). Nietyle jednak jest on wspaniałym, ile wdzięcznym. Ze wszystkich prawie stron miasta dostrzedz można dwie jego wieżycy, rysujące się na lazurowém tle nieba. Widok ich, osobliwie przy świetle zachodzącego słońca, jest czarujący.

Przeszłość tej świątyni tak jeszcze pachnie wczorajszością, tak jest młodziuchną przy innych wileńskich kościołach, tak ubogą we wspomnienia dziejowe, że archeolog zdala jęj progi omija, a my, szperając w dziejach Wilna, tylko następne znaleźć mogliśmy fakta.

W 1703 roku Michał Koszycy (u Kraszewskiego mylnie Koszycy), pisarz ziemski województwa wileńskiego, człowiek bogobojny i dostatni, wymurował ten kościół dla jezuitów, pod wezwaniem świętego Rafała archanioła, opatrzył go funduszami i wreszcie umierając w 1709 r. testamentem nowy mu jeszcze dodał zapis. Do jego uposażenia przyczynili się niemało: Michał Kaźmirz ks. Radziwiłł, wojewoda trocki, hetman polny litewski i Kaźmirz Paweł Sapieha, wojewoda wileński.

W kilkadziesiąt lat później jezuiti przenieśli siód kościoła Rafała do swego kolegium w Połocku, a konstytucya 1774 r. w Warszawie, oddała kościół i klasztor śnipiski, wraz ze wszelkimi należącemi doń zabudowaniami, ks. pijarom wileńskim, na zaprowadzenie nowicyatu i wychowywanie w nim młodzieży zakonnej. Wówczas wszakże kościół ten nie był parafialnym. Dopiero w 1791 r. obywateli śnipiscy, odcięci rzeką od parafialnego kościoła, co nadewszystko zimową i jesienną porą wielką stanowiło niedogodność, zanieśli prośbę do księcia biskupa Massalskiego, który erygował go tegoż roku na kościół parafialny.

W ósm lat później. (roku 1799) pijarzy ustąpili z klasztoru i kościoła, zrzekając się praw do wszelkich zewnętrznych i wewnętrznych zabudowań na rzecz rządu. Przez znaczny przeciąg czasu kościół

(1) Na Śnipiskach jest mnóstwo fabryk cegieł, kafli i wapna.

był zamknięty. W 1812 r. Francuzi klasztor obrócili na szpital, a kościół na skład materiałów aptecznych. Około 1824 r. parafią odnowiono. Obecnie klasztor zajęty na koszary, a kościół jest parafią świecką, do której należą Śnipiszki i kilka poblizszych wiosek.

Wnętrze kościoła nie godnego uwagi nie przedstawia. Zakrystya jednak dostatecznie jest zaopatrzona w aparata kościelne. Z pomiędzy obrazów nader miernego pędzla, jeden tylko ma wielką wartość. Jestto utwór sławnego Szymona Czechowicza, wyobrażający archanioła Rafała, w chwili gdy się wznosi ku niebiosom, w obec korzącego się Tobiasza i całej jego rodziny. Koloryt jego przesliczny, rysunek, przy poprawności flamandzkiej, zawiera wdzięk i życie włoskiej szkoły. Oblicza Tobiasza i syna jego promieniają niemym zachwytem i świętą intuicyą, a usta księcia aniołów zdają się kończyć owe słowa, które tak cudnie wyraził nasz Stefan Witwicki:

„Pokój wam.

„Jednego z siedmiu widzicie,

„Którzy stoimy przed panem.

„Tobiaszu! gdyż swe dziecię

„Widział sobie odebranem

„I żal ofiarował Bogu;

„Gdy sieroty z ubogiem

„Witałeś u swego progu;

„Kiedyś porzucił biesiady,

„By umarłych oddać ziemi;

„Bo cię ani chytrych rady,

„Ani bezbożnych rozkosze

„Z drogi, która nakazana

„Od zakonu, nie odwiodył;

„Wtedy ja sam twoje modły.

„Niosłem w miłosierdzie Pana,

„Jak teraz wdzięczność zanoszę.“

W ogóle ten obraz zaszczytne znalazłby miejsce w każdej galerii europejskiej.

Wspomnieliśmy wyżej o słupie z figurą Zbawiciela dzwigającego krzyż. Stanowi on nierozdzielną całość z kościołem świętego Rafała, ba! jest jego duszą, jeżeli się godzi tak wyrazić. Pozwól więc, czytelniku, że cię bliżej z nim zapoznam.

Wyobraź sobie, żeś przybył do grodu Gedymina i Jagiellonów w cudny wieczór majowy. Wszedłes na miasto użyć świętego powietrza, poznać stare gmachy i cudne okolice tego grodu, przejrzeć się w murach Wili, która „*dno ma złociste a niebieskie lica!*“ Minąwszy wspaniałą katedrę, deptając ziemię, na której niegdyś wznosiły się gmachy „dolnego zamku,“ minąwszy piękną kamienicę Karabanowicza, co się swobodnie rozpostarła na gruzach nieodżałowanego pałacu królowej Barbary, spostrzegasz opodał, tuż pod kościołem świętego Rafała, a wprost zielonego mostu, piękne wzgórze, kąpiące się w potokach promieni zachodzącego słońca. Na niem bieje słup murywany, z małą wewnątrz altanką, w której widny posąg Zbawiciela, w czerwonej szacie, cierniowej koronie, uginającego się pod ciężarem wielkiego krzyża. Jest to owa figura śnipiska, o którejśmy wspomnieli. Zbliźmy się ku niej.

Żaden Litwin nie przekroczy sztachet, okalających to wzgórze, nie zdjawszy czapki, żadna Litwinka nie wejdzie na nie, pobożnie kolan nie uchyliwszy. Wiele nawet osób na kolanach po kilkakroć statwę obchodzi; inne zadowolają się żarliwą modlitwą, którą odmawiają już klęcząc koło ławek niedawno postawionych, już stojąc w rozmaitych miejscach wzgórza. Ze wszech stron płyną tu gorące modły, ze wszech stron błagalne wnoszą się oczy, potoczy się łza skruchy lub miłości. I ożywiony widokiem Tego, co umarł za nas na krzyżu, odchodzi ztąd każdy pełen pociechy wewnętrznej, pełen przeświadczenia, że przez krzyż prowadzi droga do nieba...

Rzecz dziwna! Owe śmiechy i rozmowy, tak pospolite we wszystkich kościołach, (nie wyłączając nawet Wilna), są tu rzeczą prawie niesłychaną. Lwy miejskie unikają tego wzgórza, a lwice wtenczas je chyba odwiedzają, gdy czują że cios jaki ma w nie uderzyć, albo też gdy pierwszą zmarszczkę ujrzą na swém czole...

Bo też niema miejsca stosowniejszego do modlitwy! Posadzką zieloną murawą, sklepieniem nieskończoność, bezmiar, słowem wspaniałe niebo, na którym albo zawieszone na promieniach kolyszą się obłoki, albo widnieją miryady gwiazd z księżycem na czele. Zamiast obrazów i architektonicznych ozdób, pędzla natury i sztuki roztoczył potężny, olbrzymi krajobraz całego prawie grodu, jego świątyni, jego gór, jego zieleniących drzew, ogrodów, okolic. Tuż u spodu zwierciadli się niebieska, srebrnolita wstęga Wili, której łagodny szmer, złąny z szumem nadbrzeżnych drzew, oddalonym gwarem miastowym i pieniem słowika,

tworzy przecudny koncert, przy którym zbladłyby wszelkie śpiewy i muzyki kościelne. Oto świątynia w jakiej się patryarchowie i prorocy niegdyś modlili.

Dodaj do tego urok wspomnień drogich dla każdego Wilnianina i gorliwego katolika, a przyznasz, łaskawy czytelniku, że Wilno słusznie może się swoją górką pochlubić.

I jakież są te wspomnienia?

Przed laty (jak świadczy rękopis wynaleziony przez uczzonego Narbutta) wznosił się na tém wzgórzu niewielki drewniany zameczek, a raczej baszta, broniąca nieprzyjacielowi przeprawy przez most, który o sto niespełna kroków zlamtąd się wznosił. Głęboki rów otaczał go dookoła, a ponieważ leżał na rozdrożu, pomiędzy wilkomińskim a święciańskim (dziś kalwaryjskim) traktem, jakaś chrześcijańska ręka dźwignęła na tym zameczku krzyż. W ciągu wojensiedemnastego stulecia, zameczek uległ zniszczeniu i upadł, by już więcej nie powstać.

Następnie któryś z obywateli śnipiskich wymurował na miejscu upadłego przez starość krzyża słup, a na nim umieścił posąg świętego Jana Nepomucena, który jednak po jakimś czasie zniszczył.

Wtedy też stanęły mury ś-to Rafalskiego kościoła, a jezuiti zrazu podnieśli tylko z gruzów ów słup, następnie zaś postawili na jego miejscu większy, z przykryciem w rodzaju altany i z krzyżem na wierzchu. Przez kilka lat żadnego w nim jeszcze posągu nie było. Dopiero w r. 1749 polecono niewiadomemu z nazwiska snycerzowi wyrzeźbanie z drzewa posągu świętego Jana Nepomucena. Po jakimś czasie zgłasza się snycerz, oznajmując że posąg gotów i może być postawionym na właściwem miejscu, byle mu tylko zaliczono umówioną zapłatę, t. j. ośm talarów bitych.

Ksiądz Ptak, przełożony w domicylium święto-Ra-

falskiem, wysłała do naszego artysty brata Stanisława, dla obejrzenia posągu. Jakież było zadziwienie tego ostatniego, gdy zamiast świętego Jana, znajduje posąg Pana Jezusa Nazareńskiego, niosącego krzyż na górę Swęj męki. Snycerz dla usprawiedliwienia się wezwany został do kolegium.

— Dlaczegoś statui nie wyrzeźbał jak ci polecono? zapytał ksiądz Ptak.

— Wielmożny księże rektorze, rzekł snycerz z uszanowaniem, przed dziesięcią wprawdzie laty (??) po-

leńską dyecezyą, naliczono 700 czaszek, prócz wielkiej liczby innych kości ludzkich, które złożony do kilku ogromnych trumien, solennie odprowadzono na cmentarz święto-Rafalski, kędy je też i pochowano.

Dzieje miasta Wilna nie podają nam ani czasu w którym tyłu ludzi na tym kurhanie pogrzebano, ani przyczyny dla której to miejsce obranem zostało na cmentarz. Najprawdopodobniej jednak iż chowano tu ciała zmarłych w czasie okropnego powietrza, które grasowało w Wilnie 1709 i 1710 roku; za czémzda-

je się przemawiać obraz nędznego pędzla, umieszczony na zewnętrznej ścianie kościoła świętego Piotra, wystawiający okropne skutki moru, który zabrał Wilnu 30,380 ofiar. Tło jego czarne, płomienne, pośród którego wznosi się wzgórze okryte nagimi i wynędzniałymi postaciami, z których jedne umierają, inne już Bogu ducha oddały i służą za pastwę zgłodniałym psom. Wzgórze to nader jest podobnem do śnipiskiego, a podanie ludowe istotnie stwierdza to przypuszczenie.

Takie są pamiątki przywiązane do tego wzgórza. Lud, nie zważając na porę roku, na zimna lub deszcz, tłumnie je nawidza, a nierazko widzié można jak żebrak, okryty łachmanami, lub wdowa opuszczona od świata i ludzi, wrzuca swój sierocy grosz do skarbonki, przykutej do słupa. Do późnej nocy nieraz ujrzysz tu modlących się, z okiem podniesionem

w górę, z duszą zatopioną w Bogu, z sercem bijącym. Wszystkie prawie wjeżdżające lub wyjeżdżające z miasta powozy zatrzymują się tu, by uprosić Odkupiciela o szczęśliwą, lub podziękować za pomyślną podróż.

Gdyby podobne wzgórze było gdzieindziej, naprzykład w Szwajcaryi, ze wszystkich stron zbieganoby się by je ujrzeć, odrysować, opisać, ba! romans jaki ułożyć; lecz że jest tylko w Wilnie, znają je ledwo swoi, a panowie turyści zdala ztąd uciekają. Może to i lepij!...

Mściław K.



KOŚCIÓŁ ŚW. RAFAŁA W WILNIE. (Podług fotografii Korzuna).

lecono mi wygotować posąg świętego Jana Nepomucena, lecz zasły nieprzewidziane okoliczności, skutkiem których wyjechać musiałem na rok z Wilna do Grodna. Następnie wasz poprzednik kilkakrotnie mi przypominał, bym wykonał zamówioną statwę, lecz okropna klęska nawidziła nasze miasto, powietrze tysiące porywało ofiar, niepodobna było myśleć o robocie. I ja też chciałem z żoną i dziećmi uciekać z domu i miasta, gdy się mi ukazał Chrystus Pan, nie wiem i powiedzieć nie umiém, we śnie czy na jawie, i w te słowa do mnie przemówił:

„Janie, sporządź rychło statwę z tego kłosa drzewa, ale taką, a nie inną, jak mnie tu widzisz. Ani ciebie, ani domu twego, żadna zaraza nie dotknie, gdy mię usłuchasz. Pamiętaj!”

— Tak się też i stało: począłem pracować koło Zbawiciela krzyż dźwigającego, a nikt w domu moim ani się poskarżył. Dziś, gdy obawa zarazy ustala, upraszam was, przewielebni Ojcowie, byście przyjęli raczyli ten posąg i postawili go w altance na słupie.

Ojcom jednak jezuitom koniecznie się chciało świętego Jana Nepomucena, a posągu Pana Jezusa przyjąć się nie zgodzali. Tymczasem pewien stary kapłan tegoż zgromadzenia, miał jakoby we śnie objawienie, dzięki któremu statwę przyjęto, lecz postawiono ją tymczasem w składzie rzeczy kościelnych, zawsze myśląc o świętym Janie.

Tym sposobem rok upłynął. Aż braciszek zakonny Antoni Rychter, krzątając się w tym składzie, posłyszał głos, jakby z ust ludzkich wychodzący:

„Dopókiż mię więzić będziecie w tej jaskini?”

Niepodobna było dłużej się opierać. R. 1720 d. 9 maja, za przełożenia księdza Hyacynta Ptaka, przy asystencji całego zgromadzenia członków *Societatis Jesu* w Wilnie i licznem zbiegowisku pobożnych, posąg Pana Jezusa umieszczono na słupie (2).

W roku 1848 wzgórze zupełnie inną przybrało postać. Okopano je bowiem naokoło, ocebrowano kamieniami i ogrodzono sztachetami. „Za pierwszym głębszym zatopieniem w ziemi motyki, powiada p. Kirkor w „Przechadzkach“ zamiast piasku lub gliny, posypały się kości ludzkie, i po ściślejszym zbadaniu okazało się, iż całe wzgórze jest ze szczątków ludzkich złożone.“ Jakoż, po odbytem nabożeństwie przez s. p. Wacława Żylińskiego, natenczas jeszcze prałata rządzącego wi-

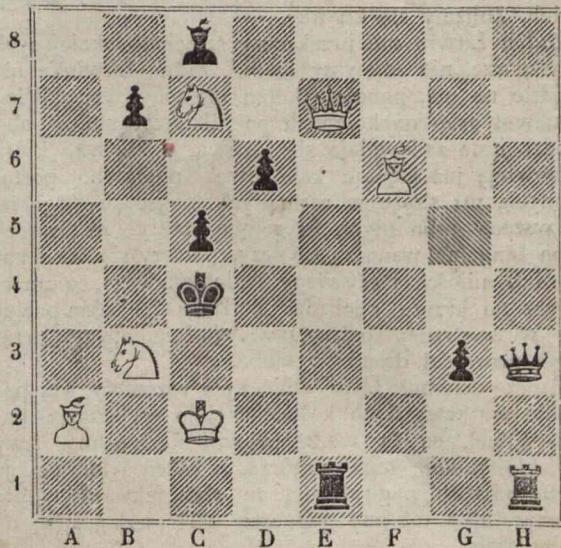
(1) Obacz pomniejsze pisma historyczne T. Narbutta.

**SZACHY.**

**ZADANIE CLXXVI.**

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 175.

Białe.

Czarne.

- 1) H 4—F 6 biorą †
- 2) G 6—E 4 biorą †
- 3) C 3—C 5 † i mat.
- (a) 2) E 5—E 4 biorą.
- 3) C 3—E 3 † i mat.

**REBUS.**



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 212.

Lepsze jedno oko swoje,  
Niżeli obce oboje.